

TEATR PRZEDSTAWIENIA

PARLER, PARLER...

JANUSZ MAJCHEREK

Teatr Współczesny w Warszawie: *AMBASADOR* Sławomira Mrożka. Reżyseria: Erwin Axer, scenografia: Ewa Starowiejska. Premiera 13 V 1995.



FOT. TOMASZ WESOLOWSKI

Zbigniew Zapasiewicz (*Ambasador*), Krzysztof Kowalewski (*Pełnomocnik*)

Na scenę wrócił *Ambasador*. W gruncie rzeczy to drugi powrót czy raczej: próba powrotu. Sztuka Mrożka miała swoje przygody: Dejmowska prapremiera jesienią 1981 roku narobiła trochę szumu, ale zaraz nastął stan wojenny i cenzura przedstawienie zdjęła. Czemu i trudno się dziwić, bo - przynajmniej wedle kryteriów tejże cenzury - rzecz godziła w sojusze. Pięć lat później Dejmek, w nieco zmienionej wersji, powtórzył *Ambasadora*. Sojusze na tym nie ucierpiały, może dlatego, że i tak już ledwo się trzymały. Co więcej: okazało się, że także utwór Mrożka trzyma się już nie najlepiej. Jeśli nie liczyć jeszcze jednego czy dwóch wystawień w tym czasie (m.in. w T. Wybrzeże), zniknął ze sceny, jak mi się zdaje, bez niczyjego żalu. I oto w połowie 1995 roku usiłuje przywrócić *Ambasadora* Erwin Axer. Trudno zaprzeczyć, że dla teatralnej egzystencji Mrożka ten akurat reżyser zrobił kiedyś niemało; on osobiście, a także kierowany przez niego Teatr Współczesny. Nie mam wszelako przekonania, czy zielen z niegdyśszych laurów jest wystarczająco soczysta, żeby ożywić, choćby optycznie, przywiedłą sztukę Mrożka. W każdym razie ze sceny przy ulicy Mokotowskiej słychać zaledwie szelest suchej literatury.

Bogiem a prawdą nie wiem, po co Axer tego *Ambasadora* wystawił. Może nie zauważył - albo nie chciał zauważyć, jako wytrzymały, aż do granic anachronizmu, konserwatysta - że rzeczywistość się zmienia, a razem z nią teksty, zwłaszcza te uwikłane w doraźne aluzje. Nad *Ambasadorem* takie uwikłania bez wątpienia ciążyą: piętnaście lat temu mogły być jego siłą, dzisiaj - stanowią o słabości. Co tu się oszukiwać, *Ambasador* należy do tych utworów Mrożka, które w swojej - nie przeczę - inteligentnej strukturze logiczno-symetrycznej wydają się zapięte na ostatni guzik i toczą się jak po sznurku; ale zarazem Mrożkowe sylogizmy i paradoksy służą w tym wypad-

ku banalnym konstatacjom na temat wolności i zniewolenia. Co prawda te konstatacje nie wyczerpują się na zagadnieniu gry politycznej i konfrontacji totalitaryzmu z systemem demokratycznym. Mrożek próbuje piętrzyć dwuznaczności i w końcu można by od biedy dostrzec w *Ambasadorze* rzecz o dochodzeniu do samowiedzy, o odkrywaniu elementarnej prawdy i moralnej powinności, która w jakiejś mierze przybiera wymiar conradowski: pośród niepewności wszystkich struktur ludzkiego świata - politycznych, instytucjonalnych, ideologicznych - jedynie pewne okazuje się to, co jest najmniej pewne czy zgoła jakiegokolwiek pewności pozbawione: wiara w imponowalność, fundament osobistego honoru, wierność samemu sobie do końca.

Można by tak czytać *Ambasadora*, gdyby sam autor takiego akurat sensu nie przesłaniał, ulegając raz po raz potrzebie ośmieszania wiadomego mocarstwa i jego fasadowych konstrukcji. Jako satyrk Mrożek byłby morderczy, ale i odkrywczy: w *Ambasadorze* eksploatuje stereotypy powycierane po wszystkich kątach antysowieckiej literatury. Ta niewybredność znakomitego pisarza nieco mnie dziwi, choć rozumiem, że przed laty była próbą odpowiedzi na tak zwane potrzeby chwili i może nawet spełniła swoją rolę. Dzisiaj wydaje się zwietrzała nie mniej niż niegdysiejsze dowcipy o tym, jak Breżniew spotyka się z Carterem...

Wszelako nie do Mrożka mam główną pretensję - pisywał sztuki wybitne, średnie i takie sobie, to normalne. Dziwi mnie wybór Axera: nie dość, że wybrał sztukę taką sobie, to jeszcze jakby przeoczył, że nie ma już ani Breżniewa, ani Cartera... Tak czy inaczej, przedstawienie we Współczesnym przynajmniej w połowie przypomina mi komedie Stanisława Barei. W każdym razie Krzysztofa Kowalewskiego Axer obsadził tak, jakby to zrobił Bareja: Kowalewski, rzecz jasna, zawsze umiał zagrać połączenie aparatchkowskiego prostactwa z chytrą funkcjonalnością, który wie, jak trzeba rozgrywać karierę, żeby utrzymać się w aktualnym kursie. I, oczywiście, numery, które serwuje: pociąganie nosem, kanciasty gest, gruboskórność, trafiają bezbłędnie: brawko przy otwartej kurtynie i rechot publiczności starczą tu za wszystkie argumenty. Publiczność przecież to kocha, a kocha dlatego, że czuje się lepsza, wyższa, bardziej kulturalna od tego "ruskiego" niedźwiedzia, który wiodąc przebiegły dyskurs ma zarazem poczucie siły i bawi się z *Ambasadorem* jak kot z myszą. Pełnomocnik Kowalewskiego to, żeby odwołać się do typologii Błońskiego, w gruncie rzeczy tyleż "cham", co "mądryk". Ale jego "chamstwo" jest dużo bardziej eksponowane. I tu mam wrażenie, iż ta stereotypowa karykaturalność schlebia nie tylko publiczności; ona zdaje się podobać samemu Axerowi, który rozgrywa mecz do jednej bramki, nie szczędząc grubych rysów zarówno Pełnomocnikowi (Kowalewski), jak i Człowiekowi (Henryk Bista); ten ostatni jest w najlepszym razie udręczonym homo sovieticum, który w swojej kufajce i berecie, choć posiada "duszę", z trudem odnajduje się w salonie "demokratycznej" ambasady.

Królem salonu jest rzecz jasna *Ambasador*. To zresztą ciekawa rola Zbigniewa Zapasiewicza, który gra, jeśli można tak powiedzieć, formę ambasadora czy też jego personę, co zresztą prowadzi do konfliktu z żoną (Maja Komorowska). Z czasem jednak - pod wpływem żony - *Ambasador* uświadamia sobie, że cały wyczerpuje się w rolach społecznych. Pozostaje mu już tylko honor jako jedyna gwarancja czy istota własnej postawy, wybór ostateczny.

Zapasiewicz, podobnie jak Kowalewski, także gra stereotyp, choć jest to stereotyp dużo cieniejszy: Pełnomocnik graniczy z ostrą karykaturą, Ambasadorowi bliżej do sarkazmu czy ironii. Bo Ambasador jest przedstawicielem cywilizacji i kultury, która przegrywa co prawda z barbarią, wszelako nikt nie może mieć wątpliwości, że dystynkcja, powściągliwość i elegancja, nawet jeśli są fasadowe, to moralnie stoją wyżej niż bezceremonialny pragmatyzm i brutalny makiawelizm nowego wspaniałego świata.

Takie nierówne zestawienie racji sprawia, że konflikt w przedstawieniu Axera jest wąty, choć teoretycznie mógłby mieć zadatki na tragizm: niestety, Zapasiewicz gra "na skrzypce", a Kowalewski "na bas".

Jedynę więc, co pozostaje, to precyzyjnie taktowana konwersacja, w której tezy, antytezy i syntezy układają się w eleganckie kryształki, budujące strukturę dyskursu. Symetrie dialogu są nie mniej elegancko analogiczne do symetrii przestrzeni, w której z rzadka odbywa się symetryczny ruch. To przedstawienie wzorowo realizuje formułę teatru, którą się kiedyś na tych łamach posłużyłem: gadające głowy na statywach ciał. Prawie słuchowisko...

TEATR PRZEDSTAWIENIA

PARLER, PARLER...

JANUSZ MAJCHEREK

Teatr Współczesny w Warszawie: *AMBASADOR* Sławomira Mrożka. Reżyseria: Erwin Axer, scenografia: Ewa Starowieyska. Premiera 13 V 1995.



FOT. TOMASZ WESOŁOWSKI

Zbigniew Zapasiewicz (Ambasador), Krzysztof Kowalewski (Pełnomocnik)

Na scenę wrócił *Ambasador*. W gruncie rzeczy to drugi powrót czy raczej: próba powrotu. Sztuka Mrożka miała swoje przygody: Dejmowska prapremiera jesienią 1981 roku narobiła trochę szumu, ale zaraz nastął stan wojenny i cenzura przedstawiła zdjęła. Czemu i trudno się dziwić, bo - przynajmniej wedle kryteriów tejże cenzury - rzecz godziła w sojusze. Pięć lat później Dejmek, w nieco zmienionej wersji, powtórzył *Ambasadora*. Sojusze na tym nie ucierpiały, może dlatego, że i tak już ledwo się trzymały. Co więcej: okazało się, że także utwór Mrożka trzyma się już nie najlepiej. Jeśli nie liczyć jeszcze jednego czy dwóch wystawień w tym czasie (m.in. w T. Wybrzeże), zniknął ze sceny, jak mi się zdaje, bez niczyjego żalu.

I oto w połowie 1995 roku usiłuje przywrócić *Ambasadora* Erwin Axer. Trudno zaprzeczyć, że dla teatralnej egzystencji Mrożka ten akurat reżyser zrobił kiedyś niemało; on osobiście, a także kierowany przez niego Teatr Współczesny. Nie mam wszelako przekonania, czy zieleń z niegdysiejszych laurów jest wystarczająco soczysta, żeby ożywić, choćby optycznie, przywidłą sztukę Mrożka. W każdym razie ze sceny przy ulicy Mokotowskiej słychać zaledwie szelest suchej literatury.

Bogiem a prawdą nie wiem, po co Axer tego *Ambasadora* wystawił. Może nie zauważył - albo nie chciał zauważyć, jako wytrwały, aż do granic anachronizmu, konserwatysta - że rzeczywistość się zmienia, a razem z nią teksty, zwłaszcza te uwikłane w doraźne aluzje. Nad *Ambasadorem* takie uwikłania bez wątpienia ciążyą: piętnaście lat temu mogły być jego siłą, dzisiaj - stanowią o słabości. Co tu się oszukiwać, *Ambasador* należy do tych utworów Mrożka, które w swojej - nie przeczę - inteligentnej strukturze logiczno-symetrycznej wydają się zapięte na ostatni guzik i toczą się jak po sznurku; ale zarazem Mrożkowe syllogizmy i paradoksy służą w tym wypad-

ku banalnym konstatacjom na temat wolności i zniewolenia. Co prawda te konstatacje nie wyczerpują się na zagadnieniu gry politycznej i konfrontacji totalitaryzmu z systemem demokratycznym. Mrożek próbuje piętrzyć dwuznaczności i w końcu można by od biedy dostrzec w *Ambasadorze* rzecz o dochodzeniu do samowiedzy, o odkrywaniu elementarnej prawdy i moralnej powinności, która w jakiejś mierze przybiera wymiar conradowski: pośród niepewności wszystkich struktur ludzkiego świata - politycznych, instytucjonalnych, ideologicznych - jedynie pewne okazuje się to, co jest najmniej pewne czy zgoła jakiejkolwiek pewności pozbawione: wiara w impoderabilia, fundament osobistego honoru, wierność samemu sobie do końca.

Można by tak czytać *Ambasadora*, gdyby sam autor takiego akurat sensu nie przesłaniał, ulegając raz po raz potrzebie ośmieszania wiadomego mocarstwa i jego fasadowych konstrukcji. Jako satyryk Mrożek byłby morderczy, ale i odkrywczy: w *Ambasadorze* eksploatuje stereotypy powycierane po wszystkich kątach antysowieckiej literatury. Ta niewybredność znakomitego pisarza nieco mnie dziwi, choć rozumiem, że przed laty była próbą odpowiedzi na tak zwane potrzeby chwili i może nawet spełniła swoją rolę. Dzisiaj wydaje się zwietrzała nie mniej niż niegdysiejsze dowcipy o tym, jak Breżniew spotyka się z Carterem...

Wszelako nie do Mrożka mam główną pretensję - pisywał sztuki wybitne, średnie i takie sobie, to normalne. Dziwi mnie wybór Axera: nie dość, że wybrał sztukę taką sobie, to jeszcze jakby przeoczył, że nie ma już ani Breżniewa, ani Cartera... Tak czy inaczej, przedstawienie we Współczesnym przynajmniej w połowie przypomina mi komedie Stanisława Barei. W każdym razie Krzysztofa Kowalewskiego Axer obsadził tak, jakby to zrobił Bareja: Kowalewski, rzecz jasna, zawsze umiał zagrać połączenie aparatchkowskiego prostactwa z chytrą funkcjonariusza, który wie, jak trzeba rozgrywać karierę, żeby utrzymać się w aktualnym kursie. I, oczywiście, numery, które serwuje: pociąganie nosem, kanciasty gest, gruboskórność, trafiają bezbłędnie: brawko przy otwartej kurtynie i rechoć publiczności starczą tu za wszystkie argumenty. Publiczność przecież to kocha, a kocha dlatego, że czuje się lepsza, wyższa, bardziej kulturalna od tego "ruskiego" niedźwiedzia, który wiodąc przebiegły dyskurs ma zarazem poczucie siły i bawi się z *Ambasadorem* jak kot z myszą. Pełnomocnik Kowalewskiego to, żeby odwołać się do typologii Błońskiego, w gruncie rzeczy tyleż "cham", co "mędrak". Ale jego "chamstwo" jest dużo bardziej eksponowane. I tu mam wrażenie, iż ta streotopowa karykaturalność schlebia nie tylko publiczności; ona zdaje się podobać samemu Axerowi, który rozgrywa mecz do jednej bramki, nie szczędząc grubych rysów zarówno Pełnomocnikowi (Kowalewski), jak i Człowiekowi (Henryk Bista); ten ostatni jest w najlepszym razie udręczonym homo sovieticum, który w swojej kufajce i berecie, choć posiada "duszę", z trudem odnajduje się w salonie "demokratycznej" ambasady.

Królem salonu jest rzecz jasna *Ambasador*. To zresztą ciekawa rola Zbigniewa Zapasiewicza, który gra, jeśli można tak powiedzieć, formę ambasadora czy też jego personę, co zresztą prowadzi do konfliktu z żoną (Maja Komorowska). Z czasem jednak - pod wpływem żony - *Ambasador* uświadamia sobie, że cały wyczerpuje się w rolach społecznych. Pozostaje mu już tylko honor jako jedyna gwarancja czy istota własnej postawy, wybór ostateczny.

Zapasiewicz, podobnie jak Kowalewski, także gra stereotyp, choć jest to stereotyp dużo cieniejszy: Pełnomocnik graniczy z ostrą karykaturą, *Ambasadorowi* bliżej do sarkazmu czy ironii. Bo *Ambasador* jest przedstawicielem cywilizacji i kultury, która przegrywa co prawda z barbarią, wszelako nikt nie może mieć wątpliwości, że dystynkcja, powściągliwość i elegancja, nawet jeśli są fasadowe, to moralnie stoją wyżej niż beceremonialny pragmatyzm i brutalny makiawelizm nowego wspaniałego świata.

Takie nierówne zestawienie racji sprawia, że konflikt w przedstawieniu Axera jest wąty, choć teoretycznie mógłby mieć zadatki na tragizm: niestety, Zapasiewicz gra "na skrzypce", a Kowalewski "na bas".

Jedynie więc, co pozostaje, to precyzyjnie taktowana konwersacja, w której tezy, antytezy i syntezy układają się w eleganckie kryształki, budujące strukturę dyskursu. Symetrie dialogu są nie mniej elegancko analogiczne do symetrii przestrzeni, w której z rzadka odbywa się symetryczny ruch. To przedstawienie wzorowo realizuje formułę teatru, którą się kiedyś na tych łamach posłużyłem: gadające głowy na statywach ciał. Prawie słuchowisko...